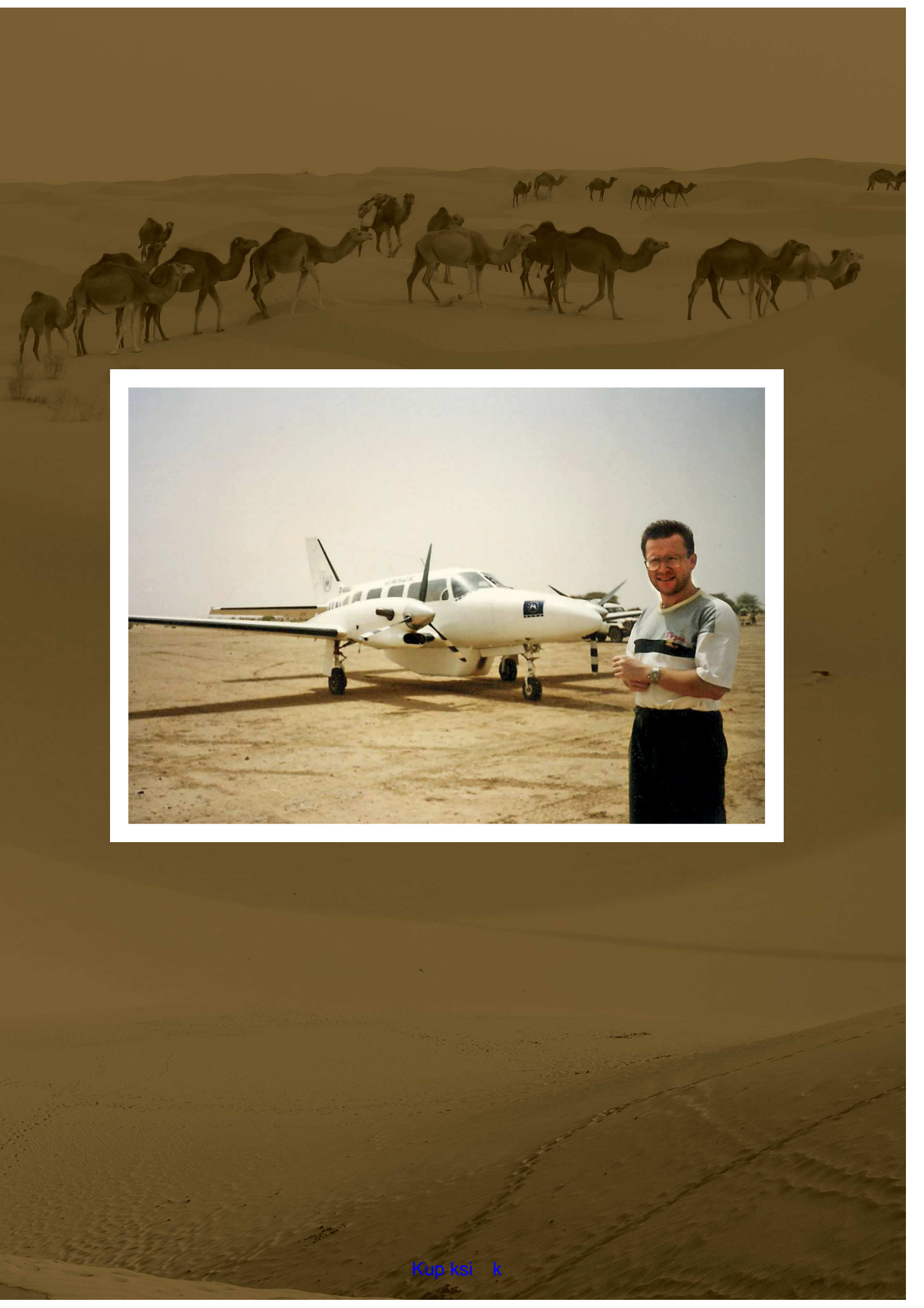


Rok w Mauretanii

Maciej Wójtowicz

*Książkę tę dedykuję Josette
i Krzysztofowi Grzegorzcykom,
dzięki którym powstała ta opowieść.*

Autor



ZWYCIĘSKI POWRÓT

Lotnisko Roissy Charles de Gaulle na północno-wschodnich obrzeżach Paryża jak zawsze drżało od ryku startujących i lądujących maszyn. Był koniec października, parki i ulice Paryża spowite były nostalgiczną mgiełką, jesienne słońce stwarzało ów niepowtarzalny koloryt Ville de Lumière¹, a moja ulubiona z paryskich alei, Avenue des Champs-Élysées², wyglądała oszałamiająco.

Lot miałem po południu, więc tradycyjnie ruszyłem na Paryż, żeby przed wyjazdem nacieszyć się stolicą Francji. Jak zwykle wynurzyłem się z płataniny metra na stacji Charles de Gaulle-Etoile, tuż obok bryły Arc de triomphe³ i Polami Elizejskimi leniwym krokiem ruszyłem do Place de la Concorde⁴. Po dotarciu do Jardin des Tuileries⁵ zatrzymałem się na obowiązkową café crème avec croissant (kawa z mlekiem i croissantem) przed fasadą Luwru. Następnie podążyłem śliczną rue de Rivoli już w kierunku Quartier Latin⁶. Nie zapomniałem oczywiście w podziemiach Châtelet-les Halles⁷ dokładnie zwiedzić wystawę broni i sprzętu jeździeckiego – typowe oglądanie wystaw – trudno przecież

1 jedna z nazw Paryża z powodu zainstalowania pierwszych na świecie latarni w 1665 r. za panowania Ludwika XIV.

2 Pola Elizejskie – reprezentacyjna aleja Paryża, łączy na odcinku 1,9 km plac Zgody z placem Charles’a de Gaulle’a.

3 Łuk Triumfalny – pomnik ku czci poległych w czasie rewolucji francuskiej i wojem napoleońskich, stojący na placu Charles’a de Gaulle’a, zakończenie perspektywy Pól Elizejskich.

4 Plac Zgody – rozległy plac w centrum Paryża, pomiędzy Polami Elizejskimi i ogrodami Tuileries.

5 Ogrody Tuileries – park, w tym miejscu stał pałac, będący rezydencją królów i cesarzy Francji, podpalony przez bojowników Komuny Paryskiej w 1871 r., nigdy nie odbudowany.

6 Dzielnica Łacińska – uniwersytecka dzielnica Paryża na lewym brzegu Sekwany.

7 Ogromna stacja metra z połączeniem do Forum les Halles – centrum handlowo-rozrywkowym.

taszczyć siodło pod pachą samolotem, a posiadanie broni w Europie, a zwłaszcza w Polsce, dla praworządnego obywatela było praktycznie niemożliwe lub przynajmniej maksymalnie utrudnione.

Pokręciłem się jeszcze trochę po uliczkach Dzielnicy Łacińskiej, zaliczyłem kolejną kawę, tym razem zwykłą „un café s’il vous plaît” (czarna kawa) i ponownie wtopiłem się w wielorasowy tłum, który, jak szalony, krążył po przeplatających się korytarzach jednej z największych w Paryżu stacji metra – Châtelet.

Po nieskończonej liczbie zmian linii i peronów metra podążyłem wreszcie szybkim RER B już bezpośrednio na lotnisko. Wraciałem do Polski po rocznym pobycie w chyba najpiękniejszym kraju Afryki Zachodniej – Gwinei, oczywiście byłej kolonii francuskiej. Gwinea, po uwolnieniu się od kolonializmu, przeszła typową drogę większości młodych państw afrykańskich. Na początku rodzimy komunizm uwieńczony powstaniem oryginalnych obozów koncentracyjnych (betonowa ceta o wymiarach metr na metr bez dachu), chińska pomoc, krwawe konflikty międzyplemienne i wreszcie, co było chyba najlepszą decyzją, ponowne nawiązanie ścisłej współpracy z „Métropole – la douce France”, słodką Francją. Ubocznym skutkiem prób zaprowadzenia komunizmu był zwyczaj spania w ubraniach. Gdy przez kraj w nocy przemierzały się konwoje ciężarówek z więźniami, eskorta, w razie ucieczki, nie zadawała sobie trudu z pościgiem lecz, ułatwiając sobie służbę, uzupełniała braki osobowe wyciągając kogokolwiek z najbliższych domostw. To podobno właśnie w Gwinei, w celu obalenia dyktatora Sekou Touré⁸, znany pisarz Frederick Forsyth⁹ uczestniczył w finansowaniu i organizacji wyprawy europejskich najemników. Wysłanie załadowanego nimi statku zakończyło się fiaskiem, a procesy pokazowe organizowane w całym kraju ciągnęły się długo. Jedynym i niekwestionowanym sukcesem tej wyprawy, luźno związanym z prawdziwymi wydarzeniami, okazała się książka „Psy wojny” wspomnianego pisarza.

8 Ahmed Sekou Touré – ur. w 1922 r., zm. w 1984 r., gwinejski polityk, działacz niepodległościowy, po wyborze na prezydenta niepodległej Gwinei zerwał kontakty z Francją, wybierając socjalizm i rządy monopartyjne.

9 Frederic Forsyth – brytyjski pisarz powieści sensacyjnych i thrillerów.

Decydenci francuskiej organizacji pozarządowej Médecins sans Frontières¹⁰, którzy wysłali mnie do Gwinei, podjęli chyba dobrą decyzję. Rozpoczywałem karierę jako médecin de brousse¹¹, przemierzając w ulewie afrykańskiego słońca – 50 stopni w cieniu – każdy zakątek rozległego regionu, a zakończyłem jako médecin chef, coordinateur de mission¹². Przez dwanaście miesięcy leczyłem malarię wraz z jej mózgowymi odmianami, zapalenia opon mózgowych, ukąszenia węży, kwashiorkor i marazm u dzieci, wyszczepiłem kogo się dało i na co się dało. Przewoziłem przez wezbrane w porze deszczowej rzeki gwinejskim czółnem ciężarne kobiety do cięcia cesarskiego, podczas gdy brody i mosty były zalane i żaden samochód nie mógł przekroczyć rzeki. Zaliczyłem tygodniowy pobyt w wiosce trędowatych, gdzie realizowaliśmy długofalowy program leczenia trądu. Ściskając na pożegnanie dłonie notabli poczułem znieczuła lekkie drapnięcie – to kość wystająca ze zdeformowanego trędem palca zarysowała mój naskórek – po odjeździe szorowałem i odkażałem dłonie przez godzinę. Nawet zawarłem symboliczne braterstwo krwi z Afryką, kiedy przetoczenie pół litra mojej krwi uratowało skrwawioną po porodzie w głębi buszu młodą Gwinejkę z plemienia Malinke. Miało być 400 ml, ale afrykańscy koledzy po fachu pociągnęli więcej, co poznałem dopiero po zawrotach głowy i niemożności zrobienia paru kroków. Cel uświęca środki – zregenerowali mnie obfitą kolacją z dzika. Niejeden raz z moim kierowcą Ismaelem, pochodzącym z mitycznego plemienia Malinke, wyciągałem zarytą po osie w błocie (pora deszczowa) lub piasku (pora sucha) naszą znakomitą Toyotę Land Cruiser, której dwa 80-litrowe zbiorniki pozwalały nam krążyć 1000 kilometrów w trudnym terenie bez tankowania ropy. W wolnych chwilach, chociaż nie było ich zbyt wiele, udało mi się ustrzelić kilka guźców afrykańskich – dzików z kłami jak z horroru, zwiedzić kopalnie złota, zaliczyć plemienne święta w buszu będąc w promieniu 200 km jedynym tubabu – białym, gdzie nastrój, podkręcany tam-tamami i palonym przez uczestników imprezy zielskiem, był naprawdę gorący.

10 Médecins sans Frontières (MSF) – Lekarze bez Granic – międzynarodowa organizacja pozarządowa utworzona w 1971 r. przez grupę francuskich lekarzy, z siedzibą w Genewie, niosąca pomoc medyczną, zgodnie z wiarą, że wszyscy ludzie mają prawo do opieki medycznej i że to prawo jest ważniejsze niż granice państwowe.

11 Dosłownie lekarz w buszu, chodzi o lekarza praktykującego w najodleglejszych zakątkach Afryki, w buszu.

12 Główny lekarz, zarządzający całą misją.

Kopalnie złota były szczególnym przedsięwzięciem, należało wykupić działkę i wynająć kopaczy. Zawodowcy, siedząc w kucki, drążyli, uparczywie kręcąc się w kółko, kilkumetrowe sztolnie, schodząc w dół bez zabezpieczenia po wydłubanych stopniach, i co gorsza, kopiąc również poziomo. Sukcesy poszukiwaczy nie były oszałamiające, szczęście uśmiechało się do nielicznych.

W większości przypadków katorżniczy i ekstremalnie niebezpieczny mozół wystarczał na pokrycie wydatków związanych z codziennym bytowaniem. Cały czas grała we mnie ambicja, aby zarówno białym, jak i czarnym w moim otoczeniu pokazać, że, jak w czasach napoleońskich, „un Polonais passe partout” (Polak przejdzie wszędzie) i nie cofnie się przed niczym.

Wydostałem się z podziemia metra i uważnie, bo na Roissy nietrudno się zgubić, zacząłem poszukiwanie terminalu do Warszawy. Nagle usłyszałem kilkakrotne:

— Matszek, Matszek – to znaczy moje imię wymawiane przez Francuzów.

— Attends Matszek! On a un cadeau pour toi pour la route! (Zaczekaj Maciek, mamy prezent dla Ciebie na drogę!).

To byli moi koledzy z Médecins sans Frontières – Frédéric, logisticien¹³ z Gwinei i Guillaume, odpowiedzialny za Gwineę w Paryżu. Frédéric, super sympatyczny paryski voyou (łobuz), charakteryzował się niezwykle barwnym życiorysem – służba wojskowa na gorejących Bałkanach, roczny epizod paryskiego więzienia i na koniec przejście na islam w Gwinei. Jednak po początkowym neofickim zapale niewiele zostało z pierwszych uniesień. Przytargali dla mnie butlę Champagne Mumm¹⁴ i natychmiast po wręczeniu zaproponowali:

— Alors, on va au bar et on prend un verre de départ! (A więc idziemy do baru na strzemiennego!)

13 Pracownik odpowiedzialny za logistykę

14 Champagne G.H. Mumm – słynny dom szampana założony w 1827 r. w Reims na północy Francji, znany z szampana Crémant de Champagne.

Kolejek zrobiło się kilka i moja krew, zmieszana z whisky, utworzyła, jak mawiał sienkiewiczowski pan Zagłoba „ten likwor wyborny, który daje męstwo i odwagę”¹⁵. Przeżyłem z moimi kompanami bardzo długi rok w tropiku, nigdy mnie nie zawiedli, ja ich też nie, o czym świadczyły słowa przed rozstaniem:

— Tu ne vas pas oublier la France, à bientôt pour la prochaine mission! Finis ta spécialité et reviens parmi nous! (Nie zapomnisz Francji, do zobaczenia na następnej misji! Skończ szybko specjalizację i wracaj do nas!)

Cały rok tęskniłem za rodziną, Polską, przyjaciółmi, ale teraz żal mi było okrutnie, że wymarzona wyprawa dobiega końca. Nie miałem jednak wątpliwości, że jak najszybciej po zdaniu specjalizacji wrócę w tropiki, zwłaszcza, że Médecins sans Frontières chcieli mnie zatrzymać za wszelką cenę. Niestety, specjalizację mogłem dokończyć tylko w Polsce, wtedy nie byliśmy jeszcze w Unii Europejskiej, a administracja francuska dla obcokrajowców była ślepo bezduszna i bezwzględna – ale nie dla tych, dla których powinna.

Jeszcze ostatnie męskie uściski i znalazłem się przed wejściem do Boeinga. Nie było wtedy internetu, ani komórek, i cały rok nie słyszałem polskiej mowy. Zdziwiło mnie, jak dobrze rozumiem język dla przyjaciół pełen uroku, jak szelest opadających liści jesienią, a dla wrogów groźny jak syk jadowitego węża. Wskutek zamieszania z paszportami i bagażami do moich uszu oprócz szelestu dotarły twardo i przeciągle wymawiane głoski „r” w środku wyrazów – wiedziałem, że nie pomyliłem kierunku lotu. Wystylizowane według najnowszych paryskich modych trendów stewardessy zatrzasnęły drzwi, wydeklamowały instruktaż i zaczęliśmy powoli kołować na pas startowy. Samolot zatrzymał się przytrzymany hamulcami, silniki dostały pełną moc, poluzowanie hamulców, wciskające w fotel przyspieszenie i ciągniemy ostro w górę, na 10 000 metrów. Ledwo wspięliśmy się na podróży pułap, rozdysponowano szpanerski obiad, a już zaczęliśmy się zniżać i po dwugodzinnym locie usiedliśmy na Okęciu.

15 Nawiązanie do cytatu z „Ogniem i mieczem” Henryka Sienkiewicza: „wyborny tworzy likwor, któren ciała daje męstwo i fantazją”.

— Au revoir la douce France, vive la Pologne! (Do zobaczenia słodka Francjo, niech żyje Polska!)

Po wyjściu z samolotu przywitała mnie już Straż Graniczna, a nie jak wcześniej WOP – Wojska Ochrony Pogranicza¹⁶, widoczny znak zmieniających się czasów. Czasy może się zmieniają, ale ludzie nie. Natychmiast zostałem zaproszony na bok – mój jeszcze peerelowski paszport upstrzony był pieczęciami krajów, których pogranicznicy nie widzieli ani na żywo, ani w kinie.

Po super filmie było szaro, zapadał zmrok, po 50-stopniowym gwinejskim upale było mi przeraźliwie zimno, nie czekała już na mnie Toyota Land Cruiser¹⁷, a jedynie zmęczona przebiegiem warszawska taryfa. Po śmiejących się stale afrykańskich gębach i zadowolonych ze wszystkiego Francuzach zacięte i ponure twarze warszawskiej ulicy studziły nieco radość z powrotu. Czujnie przedarłem się przez emanujący specyficzną atmosferą Dworzec Centralny, w ostatniej chwili złapałem ostatni ekspres do domu.

Do domu wpadłem niespodziewanie, radość była ogromna, powitalna kolacja skończyła się nad ranem. Nawal opowieści krajowych i zagranicznych, prezentowanych jednocześnie, powodował zawrót głowy. Rodzice przeżywali na nowo chwile mojego wyjazdu sprzed roku. Poziom stresu był wtedy wysoki. Dowiedziawszy się o mojej afrykańskiej decyzji zaczerpnęli informacje o Gwinei z jedynej dostępnej wtedy książki – trudno uwierzyć, że mogło kiedyś nie być internetu. Znakomity ten podręcznik traktował głównie o czających się wszędzie jadowitych wężach, lampartach, trujących roślinach i potrząsających dzidami wyjąjących ludożercach.

16 Wojska Ochrony Pogranicza (WOP) – formacja wojskowa, część Sił Zbrojnych PRL i służba MSW, odrębny rodzaj wojsk powołany w 1945 r. do ochrony granic Polski. WOP wielokrotnie zmieniał podległość strukturalno-służbową, przechodząc z podległości Ministerstwa Obrony Narodowej poprzez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i odwrotnie, by w końcowej fazie swojego istnienia (od 1972 roku) pozostawać w podległości MSW, jako formacja wojskowa. W wyniku przemian i transformacji ustrojowej Wojska Ochrony Pogranicza zostały rozformowane w dniu 16 maja 1991 r., a w ich miejsce utworzono Straż Graniczną, jako formację typu policyjnego o charakterze prewencyjnym, powołaną do ochrony granic Polski.

17 osobowy samochód terenowy produkowany przez japoński koncern motoryzacyjny Toyota Motor Corporation od 1954 roku, próby stworzenia samochodu terenowego dla wojska trwały od 1941 r. Ostatecznie pierwsze modele Toyoty Land Cruiser (Lądowego Krążownika) wyprodukowano konkurując z Land Roverem (Lądowym Włóczęgą).

Najpilniejszą sprawą po powrocie stało się nabycie czterech kółek – swoją pierwszą maszynę, białego Fiata 125, sprzedałem tuż przed wyprawą, nauczywszy się na nim objawów wszelkich możliwych awarii. Chciałem nawiązać nowe kontakty – bo jak w piosence „dziewczęta, które miałem na myśli, powychodziły za mąż już”¹⁸. Dobry wóz był niezbędny. Rady doświadczonych kolegów krzyżowały się jak szable w boju – 2-letni golf, lepiej lekko bite bmw, są niedrogie ruskie łady, może skodę favorit, i tak cały czas, koneserzy wspominali o znakomitych, importowanych z Azerbejdżanu tawriach. Wyszedł wtedy ostatni hit, Polonez Caro, skrzynia 5-biegowa, podrasowany silnik, face lifting budy – odlot! Zdecydowałem się od razu. Mój Ojciec marzył o kolorze koniakowym, Pani Matka o pistacjowym, ja wybrałem czerwony – według opinii niektórych dobry dla prostaka, ale z gustami się nie dyskutuje, zwłaszcza z moimi. Jak to często w naszej Rzeczypospolitej bywało i bywa, nie należy zwlekać – od nowego miesiąca cena wzrosła o 1/3. W ostatni dzień starej ceny miałem dyżur na pogotowiu ratunkowym, sprawa się komplikowała, działać trzeba było szybko. Z pomocą przyszedł mi niezawodny przyjaciel ze szkoły, studiów, poligonu i stażu – Zbysław Lenge. Nie wiem, skąd wyczarował całą sumę, na moje pełnomocnictwo poloneza kupił i przywiózł. Była radość! Koledzy zawodowcy ostrzegali mnie przed paliwożernością wytworu rodzimej myśli technicznej – ponoć w mieście żłopał 11 litrów, ale rzeczywistość przerosła przewidywania. Na sto kilometrów pił 17 litrów. W trakcie rozruchu, na tzw. ssaniu, słup błękitnego dymu tworzył coś w rodzaju zastony dymnej. Mechanicy na przeglądzie gwarancyjnym nie chcieli mi wierzyć, ale kiedy w hali chmura dymu omal nie zadusiła ich w kantorku, gdzie pracownicy żuli bułki i siorbali kawę, zabrali się rażno do roboty i nawet z dobrym rezultatem – zesliśmy na 10 litrów. Jesienią, w naszej strefie klimatycznej drogi bywają śliskie, a tylny napęd przenoszony za pomocą jedynych w świecie opon na każdą drogową sytuację D-124 skutkowało niejednokrotnie efektywnym zarzucaniem kupra. Udawało mi się wychodzić z niezamierzonych poślizgów kręcąc zamasyście kierownicą, lecz emocje były spore. Niezwykle cenną okazała się rada jednego z moich znajomych, kierowcy rajdowego i koncesjonera jednej z rozkwitających na chłonnym rynku firm samochodowych Leszka Januszyńskiego. Polak potrafi – weterani polskich dróg

18 Słowa z piosenki kabaretowej „Dziewczyny, które mam na myśli” wykonanej przez Bogusława Smolonia i Krzysztofa Krawczyka w 1986 r.

i produktów FSO doradzili mi wpakować do bagażnika między nadkola worek cementu – 50 kg. Zadziałało lepiej niż spojler w rajdowych maszynach.

Zdążyłem jeszcze z powrotem zapisać się na zajęcia karate – przetrwanie w ekstremalnym klimacie Gwinei zawdzięczałem w dużej mierze dobremu przygotowaniu kondycyjnemu. Wydawało mi się, że byłem nieobecny cały wiek, a tymczasem koledzy z treningów ledwo zauważyli, że rok przeleciał. Upływ czasu zależy od intensywności i nawału wrażeń.